ROZMAITOŚCI.

Dnia 13. Sierpnia **N^er 33.** Roku 1842.

KARCZMA I OBERZA.

(Dokończenie.)

Wybiegł gospodarz i wnet wprowadził do pokoju pana pasażera, mężczyznę wysokiego wzrostu, którego czarna chustka, kamizelka, czarny krótki surducik i ciemne faworyty — formujące grecką obróżkę, podobnie jak koła poduszki pojazdowe, upudrowane były tym podróżnym proszkiem.

Pan wojażer zadysponował obiad i dobywszy z kieszónki zégareczek, nie większy od saskiego talara, odezwał się po niemiecku akcentem mocno saskim, niby do siebie, a jednak w pół-głośno:

»Druga godzina, o czwartéj w Przemyślu, o szóstéj w Sądowéj, o trzy kwandranse na jedynastą we Lwowie będę.«

Zrobiłem uwagę, że tak dokładną mając wiadomość o stacyjach naszych pocztowych, bez wątpienia często po kraju naszym podróżuje.

Na to, przeprosił mnie z najgrzeczniejszą uprzejmością, i zapewnił, że po raz pierwszy podróżuje po niecywilizowanym kraju — »ale — *das arme Ländchen ist nit so gar übel,* i gdyby tylko te kilka górek zniwelować, *es wird eine erliche Bahn abjeben.*«

»Pan z daleka jedzie?« zapytałem.

»Wczoraj o trzy kwadranse na trzecią wyjechałem z Hamburga z Bahnhausu«, powiedział to z zimną powszedności flegmą, a mnie zimno się zrobiło i spojrzałem na mówiącego, jakby nim był sam Ponsowy Samiel.

»Nigdy, oh! nigdy nie odbywałem podróży tak powoli«, mówił podróżny — »ale *die Elbe Direction ist impertinent miserable* — *Qualitata* okrętów *passable* — *aber die Elbe Direction ist zu karg* — *und leidet Mangel an Wasser.* Ja zrobiłem mocyję«, mówił daléj. »Dyrekcyja ma się wystarać o monopolijum Elby.«

»Zważywszy, że w tych czasach na fabrykę cukru, musztardy i wina szampańskiego konsumuje się tyle wody, zważywszy te tak ogromną konsumcyję Elby — na tę *künstlichen Wiesen-Arrogationen,* to jeżeli tak potrwa, *die Elbe fallirt.*«

»*Abe die Leutchen wollen jezt kein Brod, nur Zucker und Wolle, und Geist nur Geist, abe die Blase zerplazt mit einem Mahl* — *und damit satis.*«

Dowiedziałem się z dłuższéj z nim rozmowy, że był Belgijczykiem, przez dwa lata konduktorem lokomotywu, dzień po dzień bez przestanku robiąc po 62 mil — przejechał w przeciągu dwóch lat 38,240 mil, a przecież nie był daléj jak w Brukseli i w Malinie — i byłby tę liczbę mil przejechanych mnożył *in infinitum*, gdyby nie mały wypadek, który kilkunastu o kaléctwo i siedmiu tylko ludzi o śmierć przyprawił. — Straciwszy posadę jeździł po Anglii, a teraz był w drodze do Ukrainy do jakiegoś magnata, gdzie ten konduktor parowy, przyjął funkcyję konduktora synów polskich.

Rozmawiając ze mną, zajadał smaczno rosół, sztukę mięsa z ćwikłą, cielęcinę z buraczkami, i leniwe piérożki, popijając te polskie przysmaki węgierskiém winem; wypiwszy nareszcie filiżankę czarnéj cykoryi, zapalił *cygaro,* kazał dać pocztylijonowi *seidel* wina — i poprosił bardzo uprzejmie gospodarza, ażeby był tak dobry, i pozwolił zapłacić *konto* sobie.

»Zaraz«, odrzekł mój gospodarz z rozpiętą kamizelką — i wybiégł z pokoju, a po niedługiéj chwili, weszła polska dziéwka, nie mówiąc słowa, położyła na stole przed panem wojażerem czarną tabliczkę.

Podróżny spojrzał — trochę się zadziwił, wreszcie do mnie się obracając, poprosił z właściwą sobie uprzejmością, ażebym chciał wytłumaczyć jemu, wiele właściwie ma zapłacić gospodarzowi tego hotelu.

Wziąłem do ręki czarną tabliczkę, zbliżyłem do okna — i wyczytałem na niéj summę pod linijką położoną, wynosiła 7 złot. reńskich 59 krajcarów z przypiskiem dwóch literek *C. M.*

»To się równa pięciom talarom saskim«, rzekłem.

»*Junmöglich, die armen Leutchen aben sich geirt — junmöglich*«, mówił śmiejąco Belgijczyk.

Pragnąc przyjść w pomoc cudzoziemcowi, powodowany do tego uczuciem miłości bliźniego i natchnieniem gościnności, kazałem przywołać gospodarza, alić ten ledwie się pojawił w pokoju, potwierdził słowem, że się nie pomylił w rachubie — i znowu zabiérał się do wyjścia.

Zatrzymałem go czyniąc refleksyje.

»A proszę pana«, zaczął tłumaczyć się gospodarz, »ten pan pocztą przyjechał, kazał dać sobie wina i kawy — niech pan z łaski mu powié, że to nie Belgija, u nas nie ma fabryk wina, a kawę trzeba szwercować.«

»*Junmöglich*«, powtórzył podróżny, »trzy dni temu w Birmingham w Strangsteetball na rannym obiedzie o 7méj godzinie wieczorem, z *Sir* Eliotem i dwoma Hongkupcami z Kantonu, mieliśmy siedm półmisków *á pour le dessert Mocca-caffe* z porcyją opium, a moje *Ecot* nie wyniosło tylko 7 szylingów i 4 pensy — a dobry właściciel téj oberzy w kraju niecywilizowanym, żąda odemnie za 4 półmiski i kwaśnéj kawy filiżankę, talarów pięć? *Junmöglich!*«

Ale gospodarz nie słyszał tych przekonywających uwag, zniknął jak kamfora, miejsce jego zastąpiła dziéwka, służąca czekająca na zapłatę, a tu pocztylijon po czwarty raz zatrąbił — a drugi upominający się o *Schmiergeld, Spanngeld, Wartgeld* — razem naglił pana pasażera do wsiadania, imieniem pana pocztmistrza. — Belgijczyk rzucił na tabliczkę rulion cwancygierów i odjechał, a gospodarz z drwiąco-śmiéjącą się twarzą patrzył za odjeżdzającym.

»Przecie się to nie godzi mości gospodarzu«, odezwałem się do niego, »tak zdziérać panów, co z za-granicy do nas przyjeżdzają.«

»A oni to nie drą panów, kiedy panowie jeździcie po ich kraju?« odpowiedział. »Dobrze, że choć cząstkę odbierzemy na powrót z tych pieniędzy, co panowie tam zostawiają — a potém czy to pan nie widział, że pocztą przyjechał!«

»Masz prawdę«, odpowiedziałem przekonany, bo mi przyszło do pamięci, kiedym za granicą pocztowémi jeździł końmi i bywał na każdéj stacyi pocztowéj skubany nielitościwie, a niemiłosiernie darty na popasie i noclegu.

»Bo to widzi pan«, mówił daléj gospodarz, »chcąc żyć na tym świecie, potrzeba czasem skubnąć, gdzie się da, jak to mówią: drzyj łyka, gdy się drą, ale na tém sztuka, wiedzieć kiedy i kogo; bo widzi pan — panu naprzykład podałem na rachunku tylko tyle co słuszna, — ale jak mi we wrota zajeżdza jaka karéta z mitrami, albo jaki magnat rossyjski, co do kąpiel naprzykład jedzie — oh panie, to wtenczas trzeba widzieć rachunek, jaki ja mu nasmaruję, aż się za głowę czasem weźmie z zadziwienia.«

»Ale czy zapłaci zawsze wszystko co napiszesz?« zapytałem.

»Mamy na to sposoby, i tak naprzykład: kiedy zacznie się gniewać, wtenczas ostro mu się postawić, odpowiém hardo, rozjątrzę go do tyla, że w końcu, choćby był największym w świecie flegmatykiem, jeżeli nie porwie się na mnie, to przynajmniéj tabliczką w łeb rzuci. Tego mi téż trzeba, wtenczas ja panie robię *alarm*, zwoływam ludzi, świadków, cały dom, protestuję, klnę się, zapowiadam, że zrobię proces. Nastraszenie takie, dotąd zawsze miało swój skutek.«

»To zapewnie, że pan podróżny zapisze sobie do pugilaresika godne nazwisko twojéj oberzy, i w powrocie ominie ją i do drugiéj zajedzie.«

»I trafi z deszczu pod rynwę«, odpowiedział gospodarz, zapinając swoją kamizelkę.

W dziwnym sposobie zbudowany, ruszyłem dalej, rychło przyszło mi się przegnać z bitym gościńcem, wiernym dotąd mojéj podróży towarzyszem, zboczyłem na drogę wiejską, która miedzami pól, to wąwozem, to znowu korytem wstecz płynącego strumienia, biegła sobie swobodnie, tu wspinała się na pagórek, tam wpadała w dolinę, opisując do koła każdego zasianego łanu, każdego lasku różno-kształtne do wyższéj już matematyki należące figury.

Możnaby powiedzieć, że jadący wiejską naszą drogą, jest właśnie w położeniu człowieka, którego prowadzi jakie swawolne igrające dziecko.

Już się zmiérzchać zaczynało, dzień, który dotąd miał oblicze zdrowego i wesołego człowieka, powoli blednąc, barwą smutku i choroby powlékać się zaczynał.

Słońce jeszcze przed swoim zachodem zaszło dla ziemi za chmurę, która w podłużnym kształcie miedzianego koloru ciężko, leniwie zsuwała się z nieba, na roztoczone wzgórza się kładła — jakby do nocnego spania. Z światła dziennego przygaśnięciem gasły kolory ziemi, blaski zlały się z cieniami w jedno-stajną siną posępności barwę, co się rozwlekła po całéj okolicy. I cichość nastała, bez gwaru wiatrów, szelestu liścia, bez śpiéwu ptaków; częste tylko a nie zwyczajne rżenie moich koni, było jedynym w téj puszczy odzywającym się głosem.

Bryczka moja zaczęła się staczać z wysokiego brzegu w jakiś ciemny, nizki padół, do którego z jednéj strony zsuwał się z góry czarny szmat jodłowego lasu, z drugiéj wodnista rozściélała się płaszczyzna szuwarem obrosła, białem kwieciem bagienka zasiana gdzie niegdzie tylko pokazująca lico wody czarne i zachmurzone. W nieznaną a niewesołą wjechawszy okolicę, widząc już zbliżający się wieczór—rado powitałem postrzeżony budynek, wedle drogi stojący. Lubo on nie miał kształtu karczmy polskiéj, wyżéj opisanej i ani był kamienicą, kwalifikującą się na *Oberżę,* wszelako otwarta brama stajni obok stojącéj, nareszcie gałęź jodliny wiszącą na sznurze nad drzwiami od domu, dozwoliły mi wnioskować, że do zajezdnego domu dojéżdzam; kazałem zajechać na nocleg. Mój rozkaz jednak nie podobał się woźnicy, ani koniom, które instynktem jakimś natchnięte, powodować się nie dały, i miasto ku karczmie nawrócić, w przeciwną pchały się stronę, kilkakrotnie dopiéro napomnione batem, pokonały swój upór.—Zajechałem, wysiadłem, karczma ta w nieprzyjaźném i odludném położona miejscu, wydawała mi się budynkiem jakimś posępnym i ciężkim, nie mając tego wejrzenia lekkiego i wesołego domu, który wygląda właśnie jakby z ziemi jak drzewko wyrósł, w dach wystrzelił, owszém domostwo to z ścianą swoją, z wilgotnych kamieni spojoną, grubą, ciężką, bryłowatémi szkarpami podpartą, widocznie gniotło ziemię, która tym tłoczącym ją ciężarem przywalona, zatamowany miała oddech swojéj wegetacyi, schła, padała i pękała do koła, kilka drzewek stało blizko domu, ale że gałęziami swojémi dotykały ściany, widać było na nich chorobę suchot, a jeźli dawały jeszcze na niektórych gałązkach oznaki życia, to chyba stygnącego i gasnącego już życia.

Wstąpiłem do sieni płytami kamiennémi wyłożonéj, a zimno jakieś od nóg rozeszło się po całém ciele i skróź mnie przeniknęło.

Izba szynkowna była obszérna, ale pusta, bez sprzętów, bez ludzi, ciemna i cicha, jakiś mężczyzna, chorowitego oblicza z twarzą chustką obwiązaną, powstał z ławy, na któréj przy piecu siedział, zbliżył się do mnie, i czego żądam zapytał.

»Stancyi!« powtórzył głosem zadziwienia, »jegomość doprawdy myśli tu nocować?«

»Nie inaczéj, albożto nie oberża?«

»To nie oberza, to k a r c z m a«, odrzekł surowo, wziął do ręki łojową świécę ze stoła, przypalony jéj knotek urwał palcami i rzucił o ziemię, nogą przydeptał.

»Proszę jegomości za mną«, rzekł i z łojówką w ręku prowadził.

Minąwszy sień, wstąpiłem do stancyi, a zdało się, że wstępuję do zakrystyi, bo już w progu owiał mnie zapach jałowcowego kadzidła, a od ścian płachtami wilgoci obciągniętych, szło na mnie jakieś grobowe zimno. W górze sklepienie popękane, z tynku

odarte, wisiało nad tą izbą nizko, ciężko, jakby chmura gradem i oberwaniem się grożąca; w jednym rogu stał piec kaflowy zimny, bez lustra i blasku, wapnem białem obciągnięty, w drugim było łóżko, miasto pościeli słoma na niém roztrząśnięta, właśnie jakby łoże umarłemu posłane. Okno małe, w głęboką osklepienia czeluść wciśnięte, osnute było do koła pajęczyną, ale jakąś pajęczyną nie żywą, pustą — i cichość była w izbie, nie rozweselona nawet brzękiem latającej muchy, albo komara; do koła ścian, z każdéj szczeliny podłogi, wyglądały białe gąbki grzybów, zdało się, że to rozsypany po ziemi rożaniec trupich główek patrzy na mnie. Przykrém uczuciem dotknięty, obejrzałem się za gospodarzem, który za mną wstąpił do tego posępnego mieszkania — gospodarza już nie było; tylko nad drzwiami pokazała mi się tablica i ten napis na niéj:

»*Ta karczma Rzym się nazywa.*«

»Ha, to tutaj?« zawołałem.

»Tutaj« — odpowiedział głos — byłto....

(*Z Sylva rerum Jadami.*)

IMPROWIZACYJA.*)

W czasach zwątpienia, w wieku bez pociechy,
Gdy wszelką miłość nędzny świat wyziębi,
Duch ludzki pokutując za światowe grzéchy,
Jak nurek, lub jak górnik spuszcza się do głębi.
I czy to w myśli własnéj się zasklepi,
Czy się w świat rzuci, i naturą krzepi,
Jeżeli tylko miłość z prawdą go pobrata,
Pociechę niesie sobie, a pomoc dla świata.
Bo tu mu zdrowiem bije znowu źródło,
A w ziemi leży dłań kruszec rodzimy,
I to co w życiu rozdarte wychłódło
Jak pieśń stworzenia wiąże się znów w rymy,
Bo kędy myślą tylko uderzysz,
I czy uwierzysz człeku czy zmierzysz,
Po całym świecie znajdziesz ład wszelki,
Boć świat jest boży — a Bóg jest wielki! —
A nie to wielkie, co bywa dumne,
Ani to wielkie, co w świecie szumne,
Ani to wielkie, czego niezmierzyć
Jedno to wielkie! w co człeku wierzyć. —
Więc gdy duch ludzki do źródła się garnie,
Gdy chce dójść prawdy i nie zginąć marnie,
Niech się przy źródle poi wiekuistém,
Przy źródle bożéj mądrości — przeczystym
Zdrojem wiary. — Boć to tam i zdrowie,
Jak święci nasi mawiali ojcowie.
A komuż więcéj, niżli nam przystało
Wszelkie te sprawy, święcić bożą chwałą?
Nam coś my onych naddziadów wnukowie
Co to w puściźnie dali nam przysłowie:
»Bez Boga
Ani do proga.«

— † —

*) W czasie uczty obiadowej, którę dnia 24. lipca b. r. z powodu po raz pierwszy odczytanej mszy św. w nowo-zbudowanéj kaplicy w Iwoniczu wyprawiono, improwizował wiérsz ten jeden z gości kąpielowych. Redakcyi nadesłał pan F. X. A........t.

Poszukiwania uczonych.

(*Z francuzkiego pana Méry.*)

W roku 1818 płynął okazały okręt trzy-masztowy *Ahorn* z Isle *de France* do Sumatry z ładunkiem rozmaitych sprzętów pokojowych, które wyszły z pracowni przy ulicy *Vienne* i na przedmieściu świętego Antoniego. Sprzęty te miały tam znaleźć kupca u indyjskich Krezusów. — Z tamtąd zaś miał okręt wracać z ładunkiem kawy dla łakotnisiów Tortoniego.

Jakże tajemniczém i kapryśném jest morze. raz się dąsa a znowu spokojnie kołysze fale. — Tym razem było ciche aż do uprzykrzenia, żaden wietrzyk nie zmarszczył źwierciadlanéj powierzchni. Majtkowie okrętu *Ahorn* leżąc na pokładzie gryźli paznogcie z gniewu i pomrukiwali szydersko: Jakże szkaradnie piękna pogoda!

Kapitan okrętu zmniejszył podział żywności, ale i to nadaremnie. — Po niejakim czasie, wszystkie zasoby, zacząwszy od solonego mięsa aż do tabliczek bulijonu spożyto. Nadszedł dzień Wniebowstąpienia. Umierająca na pół z głodu osada okrętu nie wiedziała, co począć, aby choć jako tako uczcić tak wielkie święto. Wszystkie skrzynie w spiżarni były próżne, a ostatni szczur wycieńczony głodem, plusnął z rozpaczy w morskie przepaści.

Ale raz jeszcze zawinął się Neptun i zaradził temu. Neptun, byłoto nazwisko Murzyna, okrętowego kucharza. Wypatrzył on jeszcze w zakątach na szczeblu mizernego koguta, który utraciwszy swoje kokoszki, zwiesił głowę i oddał się smutnym myślom, podobnie jak Murad-Bej, kiedy po bitwie pod piramidami, cały swój harem postradał. Tenże waleczny Neptun wziął się raźno do koguta, oskubał go i wsadził na rożen! Zgłodniała osada ostrzyła zęby, i z niewysłowionym apetytem wciągała woń, która ją

dolatywała. Przed kuchnią stał na straży porucznik okrętu, aby się broń Boże! który z majtków nie pokusił o ten specyjał przeznaczony dla kapitana, który się z porządku rzeczy zdrzymał, chcąc głód snem umorzyć. Bo głód ma ostre ostrogi! Naraz rozległ się w kuchni tak przeraźliwy krzyk, jaki tylko Murzyn ukąszony od gadziny wydać może. Neptun bledniejąc pod hebanową skórą swojego oblicza, wylatuje w rozpaczy z kuchni, i rwie obiema garściami swoje kądzierzawe runo na głowie. Osada patrząc na to samosobne męczeństwo, wpada na myśl, że Neptun w wściekłości dojmującego głodu, sam pożarł koguta, a teraz najadłszy się, udaje pokutę i żal za grzéch do nieodpuszczenia! Ale on nie spełnił téj zbrodni, tylko z wielkiéj gorliwości, aby go doskonale upiéc, spalił na węgiel koguta!

Pod gorącém niebem zwrotnikowém gniéw kipi, i warczy i pryska! Porucznik wrzasnąwszy straszliwie jak tygrysica, kiedy zuchwała ręka wydarła jéj dzieci, pochwycił za nóż széroki, rozpędził się ku Neptunowi, i byłby go pewnie trupem położył, gdyby się był jeden z podróżnych Ludwik Bergaz między nich nie rzucił i nie wstrzymał śmiertelnego ciosu! Murzyn ocalał, ale z głębokiéj rany, którą jego wybawca w ramię otrzymał, płynęła krew strumieniem. Mimo tę ranę byłby jednakże on porucznika z pokładu rzucił w morze, gdyby się podróżni z swojéj strony nie byli w to wdali. Neptun padł do nóg wybawcy i zléwał je łzami wdzięczności. Po tym wypadku podróżni ściągnąwszy się mocniéj przez pół rzemieniem dla uśmiérzenia głodu, dostali się szczęśliwie przy życiu do Sumatry.

W cztéry lat potém siedział Bergaz przy *table d'hote* w Batawii. Pomiędzy gośćmi byli także dwaj uczeni z Europy, i pewien przyjaciel ludzkości, którzy kosztem rządu w naukowym celu podróżowali po świecie. Gdy przy stole przypadkiem za głośno wymówiono nazwisko Bergaz, najstarszy uczony, podniósł głowę, która dotąd nad talérzem pochylona była i zapytał z żywością: »Któż tu jest, co się Bergaz nazywa?«

»Ja, mój panie, jeżeli łaskawie pozwolić raczysz.«

»To rzecz dziwna«, rzekł uczony, »pan się tak nazywasz, jak bóg Madagaskaru.«

»Czy podobna, aby jaki bóg nazywał się Bergaz?« uśmiéchając się rzekł mój przyjaciel.

»B-E-R: Ber, G-A-Z: Gaz, Bergaz«, zgłoskując tę nazwę, zapewniał uczony, że tak jest w istocie, poczém zaniechano dalszéj rozmowy o tym przedmiocie. Nazajutrz przy stole, dobył tenże grubo-uczony z kieszeni jeden numer dziennika *Asiatic Review*, podał go panu Bergaz i rzekł: »Weź pan i czytaj, com o jego ubóstwionym imienniku doniósł uczonym towarzystwom w Paryżu i Londynie, i zatrzymaj sobie ten numer na pamiątkę, jeźli to panu przyjemność sprawi.«

Bergaz podziękował i czytał następujące słowa: »Ludność Madagaskaru składa się z Afrykanów, Arabów i Madekasów. Madekasowie zamieszkują wielką część królestwa Owasów, którym królowa panuje. Madekasowie różnią się od innych plemion etyopskiéj rasy, łagodnością, dobrocią i gościnnością; są przytém bardzo waleczni, lubią wojnę, która im dostarcza niewolników. Mylnie utrzymywali niektórzy, jakoby oni czcili szatana. Madekasowie mają tylko jedną świątynię, w któréj oddają cześć bóstwu Bergaz (Bergaz jestto złożone słowo z chaldejskiego *Ber*, co oznacza źródło, i z słowa madekaskiego *Gaz*, co oznacza światło). Temu bóstwu dają w objatę koguta, tak, jak Grecy dawali Eskulapowi. Otóż jest niezawodna, że tajemnicze i cudowne ogniwa języka i wspólnych przesądów, sięgają po za góry i morza i łączą późne wieki.«

Ta ostatnia filozoficzna uwaga zdawała się Bergazowi aż nazbyt mądrą.

»Zaledwiebyś pan uwierzył«, rzekł tenże sam grubo uczony, »jak olbrzymie postępy robi umiejętność, oparta na naszych mozolnych poszukiwaniach, za które nasze życie i wszelkie uciechy świata łożymy!«

Bergaz skinął głową niby w potwierdzenie i milczał. W kilka dni potém mając różnémi zatrudnieniami zaprzątnioną głowę, zapomniał o uczonym i o bożku.

W dziewięć miesięcy późniéj płynął Bergaz ku przylądkowi *Santa Maria* na wyspie Madagaskar. Miał z tamtąd brać hebanowe drzewo. Tymczasem burza zmusiła go do zarzucenia kotwicy w Simpai na wybrzeżu Ovas.

Podczas gdy czeladź okrętowa była zajęta naprawianiem uszkodzonego okrętu, Bergaz wysiadł na ląd ze swoim sługą. Na wyspie Madagaskar nié ma dzikich zwiérząt, nié ma się przeto podróżny niczego obawiać śród moczarów i dziko-gęstych lasów prócz febry, ale lwa nie ujrzysz na téj wyspie. Bergaz będąc bezpiecznym, oddał się łowom, które lubiał namiętnie jako Marsylczyk. Mając przed sobą stada kuropatw, bażantów, przepiórek, szedł uszczęśliwiony za piérzchającém ptactwem. W téj wędrówce natrafił na chatę, przed którą leżało obliczem do ziemi kilku krajowców, zawodząc przeciągłémi tony hymn żałosny. W każdéj zwrotce téj pieśni było słychać tak wyraźnie nazwisko Bergaz, iż Bergaz, Marsylczyk nie mógł ani pomyśléć, aby

to, co słyszał wyraźnie, złudzenie było. Ale przypomniawszy sobie uczonego z Batawii i list z azyjatyckiego dziennika, przystąpił bliżéj, aby się osobiście zapoznać z bożkiem, który jego nosił nazwisko.

Świątynia nie wyglądała bardzo okazale, byłato chata npleciona z trzciny bambusowéj i gliną wylépiona. Ale między cztérma nagiémi ścianami téj lépianki, stał posąg, który na cudzoziemcu dziwne sprawił wrażenie.

Obraz ten przedstawiający bożka Bergaz, nie był wprawdzie arcy-dziełem rzeźbiarstwa, zawsze jednak nosił na sobie znamię lepszego dłuta, niż bożki Nowéj Zelandyi *Ea-Eino-Move i Tavai-Poeen-No-Moo,* których wystawiając w dzikich kształtach, przyznawano im potęgę, która tworzy, mówi i chłoszcze. Bożek Bergaz był bardziéj podobny do utworu sztuki europejskiéj, a co większa, miał na sobie ubiór téjże części świata: na głowie kapelusz ryżowy o szérokich krysach, na szyi lekko związaną czerwona chustkę z Madras, niebieską koszulę, szérokie spodnie w paski i kurtkę z drelichu. Z postawy jego domyśléć się było można, że kogoś ochrania od zgubnego ciosu, prawe ramię miał krwią zczerwienione. Niemniéj zdziwiło to podróżnego, że jego ubóstwiony imiennik był do niego cokolwiek podobny, miał bowiem czarną brodę, jaką on w roku 1818 na okręcie *Ahorn* sam jeden tylko nosił. Chustka na szyi bożka, była ta sama, którą Bergaz niegdyś czarnemu Neptunowi darował, i która jego cyfrą *L. B.* znaczoną była. Gdy się z zadziwieniem podróżny bożkowi przypatrywał, weszli krajowcy z processyją do świątyni. Rozniecіwszy ogień, spalili w płomieniach koguta i błagali bożka o pomoc i błogosławieństwo.

Na te słowa:

»O Bergaz, władco tego świata,
Chroń nas od wężów, i daj żyźne lata!«

nie mógł się dłużéj wstrzymać od śmiéchu i parsknął, co miał mocy. Czciciele bożka oburzeni tą nieprzyzwoitością, rzucili się na bezbożnego zuchwalcę i mimo ich łagodność okazali wielką ochotę, podobnie jak z koguta, sprawić objatę swemu bożkowi. Ale wtém dał się słyszéć odgłos cymbałów, grzegotek i kalatałów, zapowiadający przybycie naczelnika wyspy. Ludwik Bergaz już się nie śmiał więcéj i padł jak długi plackiem przed bożkiem, modląc się głośno, co mu ducha stało.

Wielki kapłan przyjął naczelnika u progu świątyni, i oznajmił mu co się wydarzyło, na co tenże wydawszy krzyk przeraźliwy, podniósł topor na głowę gwałciciela świętego przybytku. Co spostrzegłszy przestraszony Bergaz, porwał się z ziemi, jakby okropem oparzony i zwrócił twarz błagalną ku obliczu zagniewanego księcia Murzynów, ale w téjże chwili wrzasnęli obadwaj z zadziwienia; morderczy topor wypadł z czarnéj pięści, a naczelnik rzucił się do nóg cudzoziemcowi, który widząc się zbawionym uprzejmie go podniósł.

Książę murzyński byłto Neptun, kucharz okrętowy, a brat jéj monarszéj mości, królowéj Owasów, która go z niewoli wykupiwszy, Namiestnikiem w Sympai mianowała.

Neptuna piérwszą czynnością było zbudowanie świątyni swemu obrońcy Bergaz.

Tenże Bergaz żyje dotąd jeszcze w Marsylii, i przechadzając się po nad brzég morski, przypomina sobie często ową daleką wyspę, na któréj go jako Boga czczono i opieki jego wzywano, i nieraz go w napadzie przypomnień owlada jeszcze to pochlebne mniemanie:

»Że jest bożyszczem murzyńskiego świata,
Chroni od wężów, sprawia żyźne lata!«

Spłon zachwycenia.

Gdym Ciebie ujrzał — co się ze mną stało —
Na to ni słowa ni wyrazu nié ma;
»Ach jakże piękna«, serce zawołało,
I już pobiegło za twemi oczyma!

I odtąd bieży jak spławek po wodzie,
Kiedy go rybka pomyka w głąb toni,
To na wiérzch wyjdzie, to znowu na spodzie,
Za rybką pędzi — nigdy nie dogoni!

Ach kiedy zwodzisz me uczucia wieszcze
I czystym nieba pogardzasz płomieniem,
Dowiedz się sroga, że się tobą pieszczę
W źwierciedle ducha, twym odbitym cieniem!

i. n. k.

Uroczystość świętéj Rozalii w Palermo.

W porę udaliśmy się do jednego domu, w którym mieliśmy okno najęte, dla przypatrzenia się processyi w uroczystość św. Rozalii. Atoli ulice były już tak przepełnione, żeśmy przeprawiając się z naszego hotelu przez przestrzeń niemal 500 kroków godzinę czasu spędzili. Co mi najpierwéj wpadło w oczy, gdym spojrzał na ulicę, byłto ogromy naprzeciwko nas na trzecim piętrze nakształt klatki zbudowany wypukły balkon, zajmujący całą szérokość domu, a kraty były tak gęste, iż przez nie zewnątrz prawie nic widziéć nie można było. Zapytałem gospodarza, coby ta machina znaczyć miała, która i przy innych domach spostrzegłem, a ten odpowiedział mi, że to jest balkon dla zakonnic. W okolicy Palermo, a nawet i w samém mieście jest przeszło dwadzieścia klasztorów dla panien szlacheckiego

urodzenia; nie powinny one podobnie jak zakonnice mieć żadnej styczności z światem; ale w Sycylii, w tym łagodnym, pobłażającym kraju, pozwalają im przynajmniéj widzićć zakazany owoc, którego się im dotknąć nie wolno. Przeto w dnie świąteczne wolno im na balkonach zajmować miejsce, na które się z swych, chociaż bardzo oddalonych klasztorów, podziemnémi kurytarzami i tajnémi schodkami aż do miasta udają. Ledwie że mi gospodarz rzecz tę objaśnił, ujrzałem, że się balkon zapełnił. Ile z zgiełku i ruchu wnosić mogłem, było tam zapewne około pięćdziesiąt zakonnic. Tak żywy i rozliczny był widok, jaki przedstawiało miasto Palermo, że nam tych kilka godzin, o któreśmy zawcześnie przyszli, bez nudoty spłynęło, lecz nakoniec wystrzał z działa, szmer, który przebiegł po całém mieście, i ruch między tłumem będącym na dole zapowiedział, że wóz z miejsca wyruszył. Jakoż niebawem spostrzegliśmy go na końcu ulicy *Cassero*. Wóz ten ciągnięty pięćdziesięcią siwémi wołmi z pozłoconémi rogami, toczył się zwolna i majestatycznie; rusztowanie na nim było tak wysokie, jak najwyższe domy, a prócz malowanych i z klejonego papieru lub wosku zrobionych figur, którémi ten wóz był zapełniony, na dwóch piętrach swoich i na kończatości wystającéj jak dziób okrętu, obejmował 140 do 150 osób, które bądź na instrumentach grając, bądź śpiewając, bądź kwiaty rzucając, uroczystość tę uświetniały. Ogromne rusztowanie to jakkolwiek powiększéj części samémi błyskotkami zapełnione, przecież było wielce imponujące. Gospodarz nasz spostrzegłszy wrażenie, które na nas ta olbrzymia machina sprawiła, z żałością wstrząsnął głową, ubolewając nad upadającą wiarą i nad skąpstwem swych ziomków. Wóz, który teraz zaledwie pod dach pałaców sięga, przewyższał niegdy wieże kościołów, i był tak ciężki, że dla ruszenia go z miejsca sto wołów zaprzęgano, a był tak széroki i tak przepełniony różnemi ozdobami, iż rzadko się obeszło, aby idąc ulicą kilkadziesiąt okien nie wybił. Był także tak wielką ciżbą otoczony, iż rzadko przybył na plac marynarki, by kilka osób nie przejechał. Do ubolewania nad upadkiem tego Święta, podobno i to się przyczyniło, iż kościelne i miejskie władze w Palermo okazały się widocznie skąpe w przyozdobieniu, bo co w dali zdawało się być jedwabiem, było z blizka prostym kartunem, a gaza draperyi była mocno wypłowiała. Tuż za powozem postępowały relikwije św. Rozalii w śrébrnéj skrzyni zamknięte, i niemal przez dwanaście osób niesione, które się koleją odmieniały. — Za tą skrzynią pojawiał się jeszcze dziwniejszy i rzadki w swoim rodzaju widok: około 40 osób niosąc relikwije Świętych Jakóba i Filipa, biegło z niémi to bardzo pośpieszno, to znowu się nagle zatrzymywało. Przez to zatrzymywanie się, uzyskiwano przestrzeń niemal stu kroków pomiędzy relikwijami św. Jakóba, św. Filipa i św. Rozalii; poczém z jak największym pośpiechem znowu naprzód bieżono. Pośpiech ten oparty jest na tém podaniu, że relikwije te niegdyś wielkiemu pożarowi tamę położyły; gdzie pożar był najmocniejszy, tam tylko kilka minut się zatrzymywano, gdzie zaś był słabszy, tam tylko pomału po przed niego relikwije niesiono. Za relikwijami św. Jakóba i Filipa postępowało niemal dwunastu ludzi z relikwijami świętego Mikołaja, a za tymi tłum ludu bez wszelkiego porządku. Tryjumfalna ta procesyja, która się około południa zaczęła, nie skończyła się aż około godziny piątéj pod wieczór; poczém wolne były znowu ulice, a przejazdka na placu marynarki podobnie jak zwykle odbywać się zaczęła.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 32. i obejmuje: 1) O nawozowéj skuteczności siarczanu wapna (gipsu). 2) Urywkowe uwagi nad gospodarstwem wiejskiém. (Dokończenie). 3) O szczepieniu owocowych drzew na korzeniu. 4) O leczeniu świérzby owczej. 5) O praniu bielizny za pomocą pary. (Dokończenie.) 6) Wiadomości czasowe: Niektóre przedmioty i pytania na szóstém zgromadzeniu niemieckich gospodarzy wiejskich i leśnych w Stuttgardzie i t. d. (Ciąg dalszy).

W tych dniach opuścił prasę zeszyt ósmy: *Lwowianina*, przeznaczonego krajowym i zagranicznym wiadomościom, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk. Zawiera następujące artykuły: Oddział krajowy: 1) Co jest chwilą a co wiekiem, wiersz przez W. O. z M. 2) Gderanie starego Cześnika, wiérsz z rękopisów pozostałych ś. p. Stan. Jaszowskiego. 3) Karol XII. król szwedzki we Lwowie r. 1704., powieść, skréślona w historycznych obrazach przez L. Zielińskiego. (Dokończenie). — Oddział zagraniczny: 1) List z Paryża do T. M., wyjątek z dzieła: Listy z za-granicy, przez Stefana W. do T. M. — Oddział literatury: Cesarski księgozbiór w Wiedniu, skréślił Celestyn M. S.

Z drukarni Józefa Schnajdera wyszła: *Nauka czytania bez poprzedniego głoskowania i zgłoskowania* ułożona przez Józefa Kokurewicza, w 8ce str. XXVI. i 86. Przy ubóstwie dobrych pism pedagogicznych w piśmiennictwie naszém książeczka pana Kokurewicza pożądaném jest zjawiskiem, zwłaszcza, iż wyszłe r. zeszłego w Wilnie dziełko podobnéjże treści: *O nowym sposobie uczenia czytać bez abecadła i sylabizowania*, okazało się mniéj pojętnem dla ogółu. Wychodząc z zasad Franciszka Szopowicza, wyłożył pan Kokurewicz w krótkości i zrozumiale, dla nauczycieli zasady téj metody skracającéj naukę czytania, i przyłączył praktyczne przykłady, które stanowiąc większą treść całéj książeczki, nadają jéj wartość prawdziwą.

Sławny podróżnik i lingwista węgierski Csoma de Körös, zakończył dnia 11go kwietnia t. r. swe życie w Dardjiling, państwie Nepal, wybiérając się do Lassy w Tybecie, w celu dalszych badań swoich nad mową tybetańską. Przed kilku laty przesłał ten uczony mąż także księgozbiorowi wszechnicy lwowskiéj owoce swéj kilko-letniéj mozolnéj pracy, kosztowną gramatykę i słownik języka tybetańskiego, wydane w Kalkucie.

Potęga muzyki. Jednego wieczora przepełniał wielki tłum ludu kościół św. Jana laterańskiego, w którym jednakże panowało święte, uroczyste milczenie. Rozrzewniającą ciszę tę przerwał nagle niewymownie tkliwy, czysty, donośny głos, któremu huk organów z chóru towarzyszył. Wszyscy słuchacze oddychali swobodnie i z prawdziwem zachwyceniem każda czuła dusza przyjmowała w siebie głębokie wrażenie. Łagodnie jak srebro, które księżyc na drżące listki i kwiecie strąca, spływały tkliwe tony, które w delikatnem drganiu po szérokim gmachu się rozlegały. Stradella, sławny śpiewak wenecki i kompozytor z XVII. wieku śpiewał oratoryjum. — Wtem przy głównem wnijściu do kościoła, skoro nabożeństwo odprawiać się zaczęło, pojawiło się dwóch ludzi z dzikiem spojrzeniem, którzy z dobytemi sztyletami na śpiewaka czekali. Ale usłyszawszy harmonijny głos jego, i przekonawszy się, że śpiew wzniosłe uczucia w sercu obudzić, a złe, nieczyste myśli zażegnać zdoła, zostali tak mocno wzruszeni i oczarowani, iż zapomnieli o zbó-

jeckim zamachu, i przyrzekli sobie, iż odtąd nad życiem jego czuwać będą. — Gdy po skończonych nieszporach Stradella wiodąc pod ramię swą kochankę Hortenzyję, wychodził z pomienionego kościoła, obadwaj bandyci, przekupieni przez pewnego weneckiego magnata dla uprowadzenia Hortenzyi, wystąpili skromnie na przeciw śpiéwakowi i dziękując mu ze łzami w oczach za niebiańską rozkosz, którą im sprawił, zeznali przed nim, że tylko czarującemu głosowi swemu ocalenie swego życia jest winien.

Tłumaczenie sztuk dramatycznych z francuzkiego, pannje także na teatrze hiszpańskim, chociaż Hiszpanija w własnych poetów nie jest uboga. Ale téż tłumacz w Hiszpanii ma się nierównie lepiéj niż autor oryginalny, a prócz tego dwie lub trzy osoby mają monopol w Madrycie. Tłumacz tamtejszy obowiązany jest dla teatru, z którym zawarł kontrakt, co tamże jest zwyczajem, ośm lub dziesięć nowych sztuk rocznie dostarczyć; lecz to jest właściwie liczba tylko pozorna, gdyż teatr obowiązuje się z swéj strony tyle sztuk przedstawić, ile on wytłumaczy. Za każdą sztukę otrzymuje tłumacz 1000 realów (niemal 65 talarów), a więc nie przesadzoną kwotę. Jednakże gdy dochody teatru od nowości sztuk zawisły, więc roczny dochód tłumacza jest dosyć znaczny, tem bardziéj, że to nie jest tłumaczenie sztuk bardzo trudnych, dzieł jenijalnych, na które tylko lepsze głowy się porywają. W Hiszpanii tłumaczą także opery, jak n. p. *Czarne Domino* i t. d., ściągają je w jeden akt i zamieniają w komedyję; gdyż komicznéj opery nie znają Hiszpanie, a śpiew tylko na operze włoskiéj panuje. Tłumacze nie podpisują nigdy imion autorów oryginalnych, a to z tego powodu, jak mówią, ponieważ ci autorowie najczęściéj Hiszpanom nie są znani. Lecz pytamy po co tłumaczeń, gdy tak wielu jest poetów krajowych? Najwłaściwsza odpowiedź na to jest ta, że teatr w Madrycie jest prawdziwy smok, który bardzo wiele pożéra. Dramat pięć razy przedstawiony, należy tamże do osobliwości, a gdy powiemy, że w Madrycie w jednym miesiącu cały repertoarz Wiktora Hugo przedstawiono, można sobie wyobrazić, jak bardzo Kastylijanie co do sztuk dramatycznych są żarłoczni.

Wyraz *Rokoko*. Jeden z korespondentów drezdeńskiego pisma *Morgenblatt* utrzymuje, że wyraz *Rokoko* wzięty jest jak wiadomo (?) z nazwy papugi, należącéj do jednéj bardzo majętnéj nadwornéj damy w Paryżu! Twierdzenie to jest bezzasadne. Wyraz *Rokoko* jest wynalazkiem pewnego od publiczności ulubionego francuzkiego komika. Jestto wyraz, który powstał podobnie jak *laryfary, terefere* i tym podobne, bez wszelkiego piérwiastku, i który wziętość swą winien tylko swemu dziwnemu brzmieniu i potrzebie posiadania nowego wyrazu na oznaczenie nowego wyobrażenia. Nazwisko komika, od którego pochodzi nazwa *Rokoko*, przytoczone jest nawet w słowniku akademii francuzkiéj. Aktor ten był na scenie, i miał oznaczyć przymioty pewnéj damy, która na pół nowoczesną a na pół starożytną powiérzchowność miała. Być może, iż zapomniał prawdziwe słowo, którém autor sztuki tę rzecz wymienił, albo téż umyślnie extemporował: »Ona jest i siak i tak — jakże mam powiedzieć? — Ona jest — *Rokoko*« — a Paryż pochwyciwszy ten wyraz, przyswoił go sobie imieniem wszystkich języków europejskich.

Szczególniejszy zabobon. Tak między mieszkańcami wyspy Jawy, jak i na Archipelagu wysp moluckich, upowszechniony jest ten szczególniejszy zabobon, że tamtejsi ludzie z krokodylów pochodzą, a nawet, że te zwierzęta są ich braćmi, siostrami. Zabobon ten zakorzeniony jest nietylko między niższą klasą ludu, ale nawet między tamtejszémi panami, gdyż przed kilku laty naczelnik wyspy Honimoa niedaleko Ceramu, oświadczył jako rzecz istotną gubernatorowi wysp moluckich, że pradziad jego był kaimanem (krokodylem wielkim). W Meester Cornelis o dwie mil na południe od Batawii, zgromadziło się niedawno mnóstwo ludu przed urzędem policyi, ponieważ mówiono, iż pewna jawańska niewiasta najprzód dziecię, a potém zaraz jako bliźniaka krokodyla powiła. Jakoż jedna z akuszerek krajowych przybyła w saméj rzeczy do urzędu z małym, w czystą chustę owiniętym krokodylem, dla oznajmienia o tym wypadku, a z nią razem przybył także kapłan (*hadszy*), który tę prawdę potwierdził. Urzędnik policyi był w niejakim kłopocie, z tego powodu, bo chociaż nie zbywało na świadkach, którzy za ten wypadek zaręczali, jednakże przepisy stanu cywilnego nie dozwalały mu wpisać potwór w rejestr, a wzbranianiem się obawiał, aby nie oburzył ludności tamtejszéj. Dla wywinięcia się z tego kłopotu, zapytał swego asesora, jednego z sędziów krajowych, jakie jest jego zdanie w téj mierze? Mędrzec ten odrzekł: »Prawda, że zdarzenie to w innych stosunkach mogłoby się dziwném wydawać, ale w naszém kraju nie jest rzeczą osobliwszą, ponieważ babka rzeczonéj położnicy była podobnież krokodylem!«

Obchodzenie się Chińczyków z swemi bożkami. Mieszkańcy państwa niebieskiego mają osobliwszy zwyczaj karania swoich bożków, za wszystkie niespełnione życzenia lub zawiedzione nadzieje. Najpiérw łają bożka i okładają go kijmi, poczém wydobywszy go z framugi i zarzuciwszy nań powróz, włóczą go po najbłotniejszych ulicach. Jeżeli się zaś zdarzy, że podczas wykonania téj kary przypadkiem ziści się ich życzenie albo nadzieja, wtedy uroczyście zanoszą bożka w procesyi do dawnéj framugi i czyszcząc go z kału, na klęczkach błagają o przebaczenie.

Dzierzawa na lat 999. Pisma irlandzkie donosiły niedawno o przedaniu majętności w hrabstwie Kork, która za roczny dochód 462 funtów szterlingów na 999 lat w dzierzawę jest puszczona. Kontrakt dzierzawy datowany jest roku 1725. Ponieważ w Anglii przedaż dóbr podług dawnéj zasady niemieckiego prawa, połączona jest z wielkiémi trudnościami, przeto Anglicy starają się niedogodność tę powetować sobie długo-letną dzierzawą.

Przysłowie żołniérskie. Na okutéj śrébrém osadzie pistoletu księcia Poniatowskiego, wyryte jest następujące godło, prawdziwe przysłowie francuzkiego żołnierza:

Je te souhaites dans la vie
Un bon cheval, une belle amie,
Cent ducats, quand tu les voudras
Et le paradis, quand tu mourras.

Sprostowanie:

W Nrze 32. »Rozmaitości« na stronicy piérwszéj, w przedziałce piérwszéj w wierszu 11tym od góry, zamiast: *układów,* czytaj: *układom*, a na str. 254 w tymże samym numerze w drugiéj przedziałce, w wierszu 18. od dołu, zamiast: *mymiar*, czytaj: *wymiar*.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.